

Zbyt duża kromka chleba - kryzys żałoby i jego konsekwencje

Przeprowadzka. Zbieramy w pośpiechu meble, talerze, ubrania. Umawiamy samochód do przewiezienia wersalki i dziecięcego łóżeczka. Sprzątamy gorączkowo przed zdaniem domu jego właścicielom. Ale jest też druga strona medalu. Przeprowadzamy się, czyli zostawiamy na zawsze pierwsze miejsce, w którym wspólnie zamieszkaliśmy. Opuszczamy dom, który jako pierwszy oglądał szeroko otwartymi oczami nasz syn. Zmieniamy całkowicie krajobraz i z małej miejscowości otoczonej lasami przenosimy się do wielkiego miasta.



Stuletniego lasu nie da się wymienić na równo posadzony młodnik. Fot. M. Kronenberg

Tyle tylko, że ta druga strona medalu pozostaje niema, zapomniana, rzucona w ką, gdzieś pomiędzy pudło z książkami a kwiaty doniczkowe. Wszystko dzieje się zbyt szybko, byśmy mogli przyjrzeć się nie tylko temu, co należy jeszcze spakować, ale też temu, co w związku z tym wszystkim czujemy. Tylko w przelocie, w ostatnim rzucie oka na dawny dom i zasypaną żółtymi liśćmi drogę, która do niego prowadzi, coś człowieka ściska w gardle i sprawia, że oczy mu wilgotnieją. A potem znowu szybko, szybko, bo nowe, więc trzeba się spieszyć, żeby wszystko poustawiać, uporządkować, ułożyć rzeczy na właściwych miejscach i móc pędzić dalej. I mimo że się udało, że wszystko jest tak, jak powinno być, to gdzieś podskórnie, ledwie wyczuwalny, czai się smutek. Nie ma wyraźnie określonej przyczyny ani przedmiotu, więc daje się łatwo zaszufładować w wygodne kategorie. To na pewno

jesień - jesienią zawsze człowiekowi trochę smutno. A może hormony? Albo brak kwasów omega-3? Jedna magiczna kapsułka dziennie i wszystko wróci do normy.

A co, jeśli nie wróci? Nie dlatego, że smutek jest tak wielki, ale dlatego, że praktycznie go nie ma - że schował się, zamaskowany tym wszystkim, co należy TERAZ zrobić. Skoro nie było czasu, by go zlokalizować i nazwać, nie może być też mowy o jego uleczeniu.

Kiedy umiera ktoś bliski, pozostajemy w żałobie. W zależności od kultury, do której należymy, żałoba może trwać dłużej lub krócej i przyjmować różne formy wyrazu - za pomocą ubioru, zmian w zachowaniu czy w przestrzeni związanej ze zmarłą osobą. Wyobraźmy sobie teraz sytuację, w której żałoba nie następuje. To coś więcej niż rezygnacja z czarnych ubrań w garderobie. To rezygnacja z poczucia straty i z uzasadnionego bólu, który się w takiej sytuacji pojawia, a jednocześnie niemożność symbolicznego przejścia z jednego stanu w drugi. Fizycznie jesteśmy już o krok dalej, ale nasza podświadomość tkwi w tym, co zostało za nami. Sytuację taką często opisuje się w stosunku do osób, których bliscy zaginęli bez śladu. Nie wiedząc czy zaginieni żyją, ich krewni trwali latami w stanie zawieszenia, bez możliwości postąpienia naprzód. Często nawet wiadomość o odnalezieniu ich zmarłymi była swego rodzaju wyzwoleniem i możliwością wyrwania się z marazmu, w którym tkwili od długiego czasu. Możliwość pogrzebania i odbycia żałoby, była zarazem szansą na dalsze życie i na wyjście z sytuacji permanentnie granicznej.



Ale rytuały przemijania i żałoby wcale nie muszą wiązać się z fizycznym odchodzeniem. Nasze życie obfituje w różnego rodzaju „małe śmierci”, które są tak naturalne jak rytm pór roku w przyrodzie. Różni ludzie pojawiają się w naszym życiu, a potem z niego znikają. Miejsca, do których powracamy po latach, okazują się być zupełnie inne, a zatem również w pewnym sensie „martwe” czy stracone w swojej poprzedniej postaci. Wreszcie, my sami również wielokrotnie umieramy i rodzimy się na nowo: dorastając, tracimy część swojego wewnętrznego dziecka; przebyte ciężkie choroby lub wypadki bywają zaczątkiem zmiany w myśleniu o sobie i świecie; narodziny dziecka odbierają nam znaczną część naszej autonomii, ale zarazem otwierają na zupełnie nieznanie wcześniej obszary istnienia i odczuwania.

Przykłady takich momentów granicznych można mnożyć. Dla wielu spośród nich kultury tradycyjne stworzyły rytuały służące symbolicznemu przejściu z jednego stanu w drugi. Zamążpójście, stawanie się wojownikiem czy dojrzewanie to znacznie więcej niż zwykła zmiana statusu społecznego. To umieranie dla jednej formy siebie, by móc następnie narodzić się w drugiej. Obrzędy, znane w antropologii pod zbiorczą nazwą rytuałów przejścia (*rite de passage*¹) miały ułatwiać członkom społeczności wkroczenie na ścieżkę przemiany. Matki dorastających chłopców przed ich męską inicjacją, przybierały żałobę i opłakiwały odchodzące dzieci tak, jak opłakuje się zmarłych. Oni sami przywdziewali potem nowe szaty i otrzymywali nowe imiona, bowiem zarówno dla siebie, jak dla społeczności, byli już kimś zupełnie innym. Życie ludzkie w takich społeczeństwach można opisać jako rodzaj spirali czy też ślimaka, gdzie koniec jednego okręgu jest jednocześnie początkiem drugiego, śmierć pod jedną postacią – narodzinami w innej.

Aby jednak nowy cykl mógł być rozpoczęty, stary musi się zakończyć. By rozpalić noworoczny ogień w święto Samhain, Celtowie wygaszali najpierw stary, wystawiając się na działanie Ciemności i nieuchronnie związanej z nią Śmierci. Nowe życie rodzi się z ciemnego, miękkiego brzucha Ziemi, z huczących wód Oceanu, z żyznych popiołów pozostałych po ogniu, który wygasł. Jeśli nie zstąpimy do poziomu tego, co martwe, nie będziemy w stanie docenić niezwykłości życia. Będziemy żyć w iluzji wiecznej teraźniejszości – świeżości, która nie więdnie oraz piękna, które nie przemija. Przyroda z jej butwieniem, gniciem i zimowym snem okaże się nie przystawać do wizji, która akceptuje tylko nieustającą wiosnę. Trzeba ją będzie poprawiać, przycinać, odświeżać, a najlepiej sfotografować w rozkwicie i pozostawić jedynie jako wesołą fototapetę na ścianie w centrum handlowym. Ogołoczone na zimę drzewa nie są godne faustowskiego mitu wiecznej młodości, podobnie jak pozostałe w lesie pnie, toczone przez chrząszcze, mchy i grzyby. Beton, stal, plastik – tak, one dają przyjemny dystans do świata pełnego rozkładu. Można z nich zbudować wysoki mur i udawać, że sterczące za nim kikuty pni to nie pozostałość po prawdziwym życiu, ale śmieci, które należy usunąć. Także ludzkie ciało – łysiejące, chorujące, pokryte zmarszczkami – nie przystaje do tej zapatrzonej w nieprzemijającą doskonałość wizji. Boimy się śmierci, więc nie potrafimy i nie chcemy jej opłakać. Zamiast jednak znaleźć się w rajach życia, które się nie zużywa, tkwimy tak naprawdę w smutnej rzeczywistości rzeczy, jakie powinniśmy byli pożegnać i opłakać, ale zabrakło nam odwagi, by zmierzyć się ze Śmiercią i przemijaniem. Niczym Tolkienowski hobbit stajemy się podobni masłu rozsmarowanemu na zbyt dużej kromce chleba – niby życie toczy się dalej, ale nasza opowieść stanęła w miejscu.

Kilka lat temu miałam okazję współprowadzić rytuał Zgromadzenia Wszystkich Istot dla grupy młodzieży. Kiedy przyszło do momentu Opłakiwania, jedna z uczestniczek odmówiła udziału w tej części, mówiąc, że jej religia (rzymskokatolicka) nie pozwala na opłakiwanie czegokolwiek, bo jej kwintesencją jest wiara w zmartwychwstanie. Czy rzeczywiście? Czym wobec tego jest Wielki Piątek, jeśli nie opłakiwaniem Życia, które odeszło, by móc potem zmartwychwstać? Pomijanie etapu Śmierci, jest uciekaniem przed naturą Życia, którego wieczność zasadza się nie na trwaniu w

ciągłym rozkwicie, ale na niekończących się cyklach umierania i odradzania się. Żałoba zaś jest tym, co pomaga nam przez owe cykle przechodzić, zrytualizowanym smutkiem, przewodniczką i pocieszycielką w ciemności.

Jak pisała Clarissa Pinkola Estés: „Wiedza o istocie Życia-Śmierci-Życia jest skażona strachem przed śmiercią. Z tego powodu nie potrafimy się dostroić do jej cykli. A jednak jej siły nie kierują się przeciwko nam. To nie rabuś, który grabi nas z rzeczy nam drogich. [...] Siły Życia-Śmierci-Życia są częścią naszej prawdziwej natury, częścią wewnętrznego źródła wiedzy [...] Bez śmierci nic nie ma prawdziwej wartości, bez śmierci nie ma nauki, bez śmierci nie ma ciemności, w której mógłby zabłysnąć diament”².



Nowe życie rodzi się z ciemnego, miękkiego brzucha Ziemi. Fot. Monika Stasiak

Próba zaprzeczenia, że stanowimy część cyklu Życia-Śmierci-Życia, jest zarazem wykluczeniem

Zbyt duża kromka chleba - kryzys żałoby i jego konsekwencje

siebie i swojego świata z natury, postawieniem się ponad i poza nią. Przemijanie nas nie dotyczy. Mamy bowiem medycynę, kremy na zmarszczki i przedmioty, które wystarczy tylko ciągle wymieniać na nowe. Natura, ta nieładzona, nieprzewidywalna, śmiertelna – budzi grozę i wstręt, więc bierzemy się ochoczo za jej uładzanie, przycinanie, czyszczenie. Ale stuletniego lasu nie da się wymienić na równo posadzony młodnik, podobnie jak przyulicznych drzew w mieście nie da się zamienić na wysypany korą skwer i zimozielone rododendrony. Uregulowana, przewidywalna rzeka, przestaje być rzeką. Oswojony wilk czy niedźwiedź staje się smutną karykaturą swojego dzikiego brata. Pozbawiając swoje życie Śmierci, tak naprawdę pozbywamy się Życia. Czy gotowi jesteśmy zapłacić taką cenę?

Monika Stasiak

Przypisy:

1. Autorem pojęcia jest Arnold van Gennep, zob. A. van Gennep, *Obrzędy przejścia*, PIW, Warszawa 2006.
2. Clarissa Pinkola Estés, *Biegająca z wilkami*, Zysk i S-ka, Poznań 2010, s. 150.